



# Dom wariatów





*Czy współczesny świat nadaje się jeszcze do życia? Stawiam złotą łyżeczkę po mojej śp. Mamie i idę o zakład, że absolutnie nie. Ktoś powie, że znowu marudzę, patrzę z pozycji malkontenta, wiecznego cierpiętnika, który wszędzie dostrzega tylko smutek, nostalgię i beznadziejność. Węszę za dramatami, opisuję z lubością okrucieństwa, których dopuszcza się człowiek, zamiast spróbować choć raz napisać coś optymistycznego. Fakt. Zapewne gdyby nie moje bystre oko niedoszłego filmowca, zauważałbym o wiele więcej piękna i pozytywów. Nie tylko w przyrodzie, lecz i w pokręconej ludzkiej naturze*

**T**wierdzę, że żyjemy w domu wariatów. Jeden z moich ulubionych pisarzy – Węgier Sándor Márai, zmarły w 1989 r., zauważa na stronach swego „Dziennika 1977–1989”, że człowiek już nie ma pojęcia, gdzie mógłby się ukryć. Przed hałaśliwością, belkotem, tandetą i... samym sobą.

„W Acerno. Na wysokości siedmiuset pięćdziesięciu metrów, w otoczeniu lasów słodkich kasztanów, w małej miejscowości – dwie ulice, pięćdziesiąt domów – do której dojeżdża się serpentyną przyprowadzającą o zawrót głowy, wreszcie Wielki, Ostatni Dar: Cisza. W dole i wszędzie na świecie dudni, ryczy, łomocze, wydiera się infernalny obłędny Hałas. A tu na dwie godziny Cisza jak zbawienie i życie wieczne. Świat zaczyna być miejscem ogłuszającym i niezrozumiałym, niewiele już pozostało miejsc, w których można się schronić”.

Sándor Márai pisał tak o świecie w październiku 1969 r., zatem 51 lat temu. Ciekaw jestem, jak opisałby dzisiejszy świat. W którym króluje pęd człowieka za gromadzeniem rzeczy. Odnajdującym przyjemność w poniżaniu bliźniego. Mordowaniu zwierząt. Nieokazującym współczucia starym schorowanym rodzicom, gdyż znam wiele przypadków, gdy dzieci zajmują się wyłącznie sobą, a swoją matkę porzucają jak starego psa lub wolą oddać do domu starców.

Schorowana 83-letnia matka ma trzy córki. Tylko jedna opiekuje się nią, jeździ kilka razy w tygodniu do podwar-



**KRZYSZTOF LOGAN  
TOMASZEWSKI**

szawskiej miejscowości, wozi matulę do lekarzy. Staruszka ma skorodowane serce, fatalne przepływy w żyłach. Ropieją jej nogi. Coraz wolniej chodzi. Trzeba ją myć, karmić, kupować leki. Pozostałe córki, dawno dorosłe, nie kwapią się pomagać matce. Ciągłe się wymawiają brakiem czasu. Tylko ta jedna ma dla starowinki serce. A przecież ofiarowała im wszystko. Gdy były małe, kupowała ubranka, prała, prasowała, robiła domowe obiady. Zawsze z kompotem. Zapomniały? Nie – nie chcą pamiętać! Kiedy przyjdzie i na nie czas, zapewne złożą dłonie do pana Boga, zaczną biadolić, wzywać matulę. Lecz tej dawno nie będzie.

Zewsząd dobiegają mnie dialogi rodaków. Gdy siedzę w kolejny „za piątek” (nie używam obcego określenia weekend) w kazimierskiej herbaciarni U Dziwisza, raz po raz ktoś z klientów przy szarlotce, herbacie Dziwiszówka i kieliszeczku nalewki z aronii podsumowuje czyjeś wyznanie słowem: „Super”. Rozmowy dotyczą wyłącznie jedzenia, pieniędzy oraz chorób. Nikt nie opowiada, że przeczytał właśnie interesującą lekturę Czechowa, np.

opowiadanie „Zazdrość”, był w zeszłym miesiącu w filharmonii na koncercie Iva Pogorelicia, albo obejrzał po raz kolejny niesamowitą rolę Colina Firtha w obrazie filmowym „Drugie życie króla”. Twierdzę z uporem maniaka, że słowo „super” stało się symbolem języka naszych czasów. Ucięło całkowicie próbę wyrażania siebie. Naszą wrodzoną spontaniczność. To słowo zastąpiło okazywanie uczuć. Uczuć głębszych – płynących z dna naszej duszy. Moje pytanie: czy jeszcze potrafimy używać słów, jakich nie używa nikt. Reagować na piękne dźwięki i kolory. Na czyjąś twarz. Odbierać naszą wspólną, choć tkwiącą na wielu biegunach seksualność. Okazywać sobie przywiązanie. Lojalność. Wieloletnią wierność partnerce bądź partnerowi. To wszystko, co nas odzwierciedla. Naszą różnorodność. Odmienność. Przeżywanie świata. Nasz charakter. Cechy, skłonności, wady oraz zalety. Określenie „super” jest jak jad zmii. Uśmierciło ludzką wyobraźnię. Stało się wizytówką wyjałowionego intelektualnie społeczeństwa. Jego całkowitego odhumanizowania.

Ktoś palnie: „Drogi panie Krzysztofie, nie wszyscy mogą być poetami. Człowiek poszukuje wyłącznie przyjemności, lubi się wypać, nażreć, wypić!”. Przepraszam, nie nażreć, lecz najeść do syta – znowu wychodzi ze mnie mądrała inteligent, któremu nie w smak język ulicy.

Przenoszę się w moich wspomnieniach do czasów młodości. Oto bo-dajże w 1965 r. znalazłem się w ośrodku



leczenia nerwic. Było to w Rasztowie. Jechaliśmy tam pociągiem w skwarne lato, w kilkanaście osób. Większość z Warszawy. A potem zakurczonym autobusem. Wszyscy byliśmy bardzo młodzi. Niejeden po przejściach, z psychicznymi problemami. Pewien młody chłopak miał obsesję zostania lotnikiem. Nie byłoby w tym nic nadzwyczaj oryginalnego, gdyby nie to, że wchodził na dach budynku, robił kilka kroków, a gdy znalazł się blisko krawędzi, zaczynał nagle krzyczeć, że za chwilę skoczy. Nigdy tego nie uczynił. Za każdym razem dwóch pielęgniarzy wbiegało pędem na dach i po kilkunutowej sprawozdaniu sprowadzało potencjalnego pilota skoczka na ziemię.

Grywaliśmy w siatkę. Raz dziennie siadywaliśmy w kole na psychoterapii. A potem po kolei opowiadaliśmy o swoim skomplikowanym życiu. Pełnym porażek i smutku. Przepiękna długowłosa dziewczyna mówiła o zdradach męża. Ktoś inny o śmierci nowonarodzonego dziecka. Cierpienie tych ludzi było tak powszednie, jak powszedni jest chleb. Nikt sam nie potrafił zrozumieć siebie. Bo nikomu nie przychodziło do głowy, że udane życie wymaga wyciągania wniosków. I ja nie miałem o tym pojęcia. Rozejście się rodziców bywa dla pięciolatka szokiem. Ciągnie się za człowiekiem jak lina cumownicza. Choć jest mocna, złożona z trzech warstw, pęka co jakiś czas. Żaden podwójny supeł już jej nie naprawi.

Przyjeżdżała do mnie co tydzień w odwiedziny Hanna K. Na te spotkania wychodziłem dumny jak paw, bo Haneczka była powabna jak żadna inna dziewczyna na Żoliborzu. Skrzyżowanie dwóch aktorek z lat 60. – Francuzki Anny Kariny i naszej Teresy Tuszyńskiej. Miała nieco wystające kości policzkowe, nieduże piersi, fiołkowe oczy i odrobinę krzywe nogi. W tym tkwił jej potężny urok. Golilem głowę prawie na lyso i wkładałem na gołe ciało czystutki prześcieradło, na szyję papierowy wieniec z kwiatów, na nogi sandały. Przypominałem mnicha. Pewnie dlatego, aby podkreślić swą przynależność do grupy, a może

przeciwnie – swą odrębność i zarazem niezależność. Kto wie, czy to wszystko nie było objawem dziecięcego buntu? W Rasztowie mknęliśmy na rowerach. Nad krętą modrą rzeczką uwiły się pawiki i cytrynki, ważki. Letnie piosenki podśpiewywały nam ptaki. W mojej Hani kochali się wszyscy chłopcy z Żoliborza i Śródmieścia. Tę synogarlicę zdobyli sławniejsi później ode mnie: dramaturg Janusz Głowacki czy fotograf Marek Karewicz. To była moja druga wielka miłość. Tracąc ją, zrozumiałem, że młode śliczne kobiety, zanim staną się kobietami, muszą dojrzeć. 18-letnie dziewczęta przypominają kwaśne jabłka. Nadgryzasz takie i... wypływasz.

Bodajże w 1965 r. znalazłem się w ośrodku leczenia nerwic. Raz dziennie siadywaliśmy w kole na psychoterapii. A potem po kolei opowiadaliśmy o swoim skomplikowanym życiu. Pełnym porażek i smutku. Wszyscy byliśmy bardzo młodzi

A potem dom wariatów pojawił się jeszcze kilkakrotnie. Obraz w reżyserii Miloša Formana z 1975 r. „Lot nad kukłowym gniazdem” z fenomenalnym Jackiem Nicholsonem (pięć Oscarów) uwiódł mnie do tego stopnia, że oglądałem go non stop. Lecz 45 lat temu nie przypuszczałem, jak bardzo ów film nie opisuje do końca tego, co zastanę na tej planecie za kilkadziesiąt lat. Ludzi zagubionych, pełnych powszechnych lęków, które wiodą ku depresji. Na którą – o czym przekonałem się po latach – jest tylko jeden lek. Ciężka fizyczna praca. I pasja tworzenia. A także, a może przede wszystkim miłość. Nie własna, bo to egocentryzm, lecz praw-

dziwe uczucie, które masz dla drugiej osoby. W moim przypadku właśnie kobiety sprawiły później, że czułem się nie tylko mniej samotny, lecz dowartościowany i po ludzku – zwyczajnie mądrzejszy.

Raz jeszcze odpalam DVD z Jackiem Nicholsonem. Czy warto komentować arcydzieło? Zdecydowanie nie. Ale już pierwsza scena tego filmu, który rozgrywa się w domu dla umysłowo chorych, wprost powala prawdą o świecie. Oto policjanci rozkuwają bohatera. To skazany za gwałt na 15-letniej dziewczynie R.P. Murphy. Gdy idzie korytarzem, podrygując, kiedy wybuchą nagle śmiechem, a chwilę potem psychicznie chorzy wypijają swoje lekarstwa przy dźwiękach muzyki klasycznej – do naszej świadomości dociera, że po takim filmie łatwo nie zaśniemy.

Zawsze później zadawałem sobie pytanie, gdzie tak naprawdę istnieje prawdziwy dom wariatów? W szpitalu dla obłąkanych czy może na zewnątrz? Czy owa cienka linia odgradzająca te dwa światy nie jest pozorna?

Kiedy spożywam mój poranny posiłek – dwa jajka w szklance, sałatkę z pomidorów, kanapki i filiżankę herbaty – nie włączam telewizora. To, czym częściej nas bowiem codziennie telewizja, wprowadza mnie w wiesielczy humor. Świat A.D. 2020 nie jest światem, który mogę zaakceptować. Wolę przy moim śniadaniu otworzyć na chybił trafił stronę

z tomu poezji Sándora Máraiiego. I przesunąć wzrokiem po jego strofach: „Mam trzydzieści lat. Moja kochanka śpi na otomanie każdego ranka. Przez fałdy jej bluzki wietrzyk wionie. Na jej piersiach krągłych drżem dlonie. Biorę swój kapelusz, w drogę ruszam. Los faceta: ciągle czegoś szukam. Może Boga, może – znów kobiety. Wiem, że będę szukał tak przez wieki. Chodzę, patrzę, ale nic nie widzę. Ani kocham, ani nienawidzę. Gwiżdżę na to, jestem egoistą. Pożyję przez chwilę i to wszystko. Życie moje wolne od cwaniactwa. Kocham dobro, zło i czar wariactwa. Dobrze wiem, że tylko to się liczy. Że kobieta spojrzy na ulicy”.